

## STANISŁAW PIETRASZKO

Stanisław Pietraszko

II Państwowe Gimnazjum i Liceum

im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie

Lublin, 17 czerwca 1946 r.

### Jak uczyliśmy się podczas okupacji niemieckiej.

#### Moja droga do nauki

Gdy we wrześniu 1939 r. wybuchła II wojna światowa, miałam 11 lat i świadectwo ukończenia czwartej klasy szkoły powszechnej. Od chwili wybuchu wojny wypadki w moim życiu potoczyły się tak szybko, że już tylko jakby poprzez mgłę widzę w pamięci oglądane wypadki wojny na jesieni 1939 r. Być może nie przeżyłam wówczas nic takiego, co mogłoby wryć się w pamięć na całe życie. Byłam wprawdzie w chwili wybuchu wojny pod Warszawą, gdzie przez parę dni z trwogą w sercu przeżywałam bezcelowe bombardowanie tej miejscowości, gdzie mieszkałam, przez niemieckie samoloty, które od strefy powietrznej nad Warszawą były odpędzane przez garstkę bohaterskich polskich samolotów myśliwskich. Tych bombardowań i tego wszystkiego, co przeżyłam później podczas krótkiego zresztą okresu ewakuacji w kierunku Lublina, nie da się porównać z przeżyciami tysięcy innych Polaków podczas wojny i okupacji.

Moje wspomnienia z tego okresu dotyczące się nauki ograniczają się do czteromiesięcznego uczęszczania do piątej klasy szkoły powszechnej w tej miejscowości podwarszawskiej, w której przeżywałam wybuch wojny.

Z czterech miesięcy nauki w tej szkole najsilniej utkwiała mi w pamięci postać jednego z nauczycieli, pana C. [?]. Był to młody jeszcze mężczyzna, dość gwałtowny i surowy w stosunku do uczniów. Lecz to jeszcze nic. Oto bowiem pewnego dnia zjawił się pan C. [?] w mojej klasie i oświadczył krótko, że od tej chwili będziemy się musieli uczyć języka niemieckiego. Koledzy moi zareagowali na to różnie. Ogólnie jednak wyczuwało się niechęć uczniów tak do języka niemieckiego, jak i do jego nauczyciela. Niechęć ta przemieniła się w nienawiść, gdy pan C. [?] zaczął przychodzić do klasy z cienką trzcina w rękę, którą

uderzał w pulpity, i przez zaciśnięte zęby wyrzucał pytania niemieckie, na które żądał bezbłędnych i wyczerpujących odpowiedzi po niemiecku.

Najmniejsze przewinienie przyprawiało tego pana o atak furii. Od tego czasu nazywaliśmy go w klasie „wściekłym psem”. Wydaje mi się dziś, że trudno było o lepsze uosobienie niemieckości od postaci tego nauczyciela o polskim nazwisku.

Drugim ważnym wypadkiem, który zdarzył się w tej szkole podczas mego pobytu, były obchody Święta Niepodległości 11 listopada 1939 r. Pamiętam dobrze salę gimnastyczną, wypchaną po brzegi przez uczniów i ich rodziny. Sala przybrana zielenią, na ścianie będącej tłem dla estrady – Orzeł Biały, flagi biało-czerwone i portrety najwyższych dostojników państwowych. Wszedł wreszcie na estradę jeden z nauczycieli. Mówił długo i ładnie, mówił wzruszonym od smutku głosem o Polsce, o wojsku, o bohaterach narodowych... A potem sala zatrzęsała się cała od hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Spojrzałem po sali. Wszyscy mieli łzy w oczach. Patrzyłem, lecz jakoś niewyraźnie widziałem otaczających mnie ludzi. Patrzyłem w sufit, który zdawał się w mych oczach drgać niewyraźnie... Wreszcie przestałem się łudzić – płakałem. Lecz nie tak płakałem, jak wtedy gdy po wycieczce do lasu i powrocie z podartymi spodniami ojciec odliczył mi 30 razy dyscypliną... To był inny płacz. Spojrzałem nagle na stojące obok dziewczynki z drugiej klasy, które ze współczująco-ciekawymi minkami zaczęły mi się przypatrywać. Zrobiło mi się trochę wstyd mych łez, mnie – uczniowi piątej klasy. Lecz w tej chwili i moim sąsiadkom łzy puściły się ciurkiem z oczu. Tak więc chwilę mej męskiej słabości zrehabilitował ogólny nastrój na sali.

Wydarzenie to nie przeszło bez następstw. Szkoła została zamknięta na, o ile pamiętam, dwa tygodnie. Oficjalnie powód zamknięcia szkoły: wybuch epidemii tyfusu...

Dziesięć miesięcy później zdawałem egzamin do szóstej klasy szkoły powszechnej w Warszawie. Nie zabawiłem tam jednak długo, bo choroba zmusiła mnie do przerwania nauki po dwóch miesiącach, a potem wyjechałem z rodziną z Warszawy w okolice Lublina. Ten moment rozpoczął nowy okres mego życia. Od tej chwili przeżyłem cały czas okupacji niemieckiej wśród wsi lubelskich. O nauce nie było mowy.

Najbliższym zakładem naukowym była wiejska szkółka czteroklasowa. Po pewnym czasie pobytu na „odludziu” zaczynałem czuć coś w rodzaju zniecierpliwienia, a nawet jakąś dziwną, nieokreśloną bliżej tęsknotę. Do tych uczuć doszło jeszcze jedno – strach przed zdżieczeniem.

Oto bowiem pewnego wieczora, podczas przysłuchiwania się rozmowie starszych, wbiłem sobie do głowy jeden szczegół – okupant niemiecki chce wszystkich zamienić w bydło robocze, w białych murzynów bez żadnej cywilizacji i kultury. Od tego czasu myśli moje ciągle wracały do jednego tematu, a mianowicie do nauki. Lecz bałem się jeszcze wyznać sobie to, co już w istocie mieszkło w mej duszy – chęć uczenia się. Nie przyszło mi to łatwo. Po prostu wstydziłem się uprzytomnić sobie, że chcę się uczyć. Błogosławione próżnowanie przejadło mi się po trzech miesiącach, to prawda, ale warunków do nauki nie było, więc uważałem, że lepiej nie budzić w sobie takich uczuć, jak pożądanie czegoś trudnego do osiągnięcia. Po cóż wreszcie będę ukrywał swoje zadowolenie w pierwszych tygodniach po przerwaniu nauki. Uważałem to za takie legalne wagary. A któż z nas wreszcie, nawet teraz, w gimnazjum, nie lubi (z umiarkowaniem, oczywiście) tych tzw. wagarów?

Po pewnym czasie próżnowanie w pełnym tego słowa znaczeniu skończyło się. Rodzice oświadczyli, że muszę się czymś zająć. Powierzono mi pewną funkcję w pewnym gospodarstwie rolnym, gdzie byłem notowany jako spełniający poważniejsze czynności, a rzeczywiście pomagałem tylko w dziedzinie księgowości. Ta praca jednak nie zaspokoila mnie. Przeciwnie. Wmawiałem sobie nawet, że dziczeję, że jeśli tak dalej pójdzie, to... itd., itd. Liczyłem jednak na to, o czym rodzice ciągle wspominali i o co się starali – liczyłem na to, że warunki się zmienią i że będę mógł się uczyć. Gdybym był wiedział wówczas, w 1941 r., że wojna potrwa jeszcze trzy lata, to chyba pogrążyłbym się w głębokiej depresji duchowej.

Była jeszcze jedna rzecz, która mi w tych ciężkich czasach częściowo zastępowała szkołę – to książki. Nie książki szkolne czy nawet popularnonaukowe. Przede wszystkim – nieliczne zresztą w zdekompletowanej rodzimej bibliotece – arcydzieła literatury polskiej. Taka np. Trylogia Sienkiewicza była dla mnie przez cały jeden rok pożywieniem duchowym. Wystarczyło tego pożywienia na tak długi czas, bo oszczędnie je pobierałem, a rozgryzałem i przeżywałem długo. To czytanie Trylogii było podstawą do zawziętych studiów nad XVII w. w historii Polski. Przeczytałem wtedy wszystkie dostępne mi dzieła o tych czasach.

Często w tym czasie doszukiwałem się analogii potopu z wojną ostatnią. Takie porównania napawały mnie nieświadomie wzruszeniem jakimś.

Czytałem też i szereg innych książek. Nie widząc nic pożyteczniejszego, zacząłem uczyć się z podręczników-samouczków języków obcych, co w efekcie dawało pewną satysfakcję,

gdyż w otoczeniu moim rozniosło się to i mówiono o mnie, że władam sześcioma językami. Jednego tylko języka nie mogłem się uczyć – niemieckiego. Był mi on tak nienawistny, że w niedługim okresie, kiedy pod wpływem starszych zacząłem się uczyć niemieckiego, słowa niemieckie z trudem wychodziły mi z ust. Naukę tego języka porzuciłem w krótkim czasie. Niekiedy potem myślałem sobie: czy to jednak nie jest głupota porzucać naukę języka, którym mówi 80 mln sąsiadów Polski? Takie pytanie tzw. rozsądku pozostawiłem bez odpowiedzi. Można to nazwać szowinizmem czy jak kto chce.

W niedługim czasie przed wkroczeniem do Polski wojsk sowieckich sytuacja moja nagle zmieniła się radykalnie. Zjawił się człowiek, który zgodził się poprowadzić naukę moją i mych dwu braci. Złożyło się to tak nagle, że nie mogłem sobie od razu dobrze uprzytomnić faktu, że już się uczę. Lecz powoli wszystko utonęło w pracy. Zacząłem całą parę przerabiać kurs klasy pierwszej gimnazjalnej. To był kres pierwszego etapu mojej drogi nauki.

Niedługo potem, w pierwszych dniach lipca 1944 r. zdawałem egzamin do klasy trzeciej gimnazjalnej przed komisją egzaminacyjną pod przewodnictwem dzisiejszego dyrektora pana A. Paciorka.

Po dwóch miesiącach znalazłem się w murach Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie.